\*\*\*BAŚNIE SŁOWIAŃSKIE\*\*\*

---LEGENDA O MIKOŁAJU ZEBRZYDOWSKIM I WIĘCOBORKU---

Dawno temu, gdzieś na wzgórzach nad jeziorem stał prastary dąb. Żył tam pewien pustelnik. Był bardzo stary i bardzo mądry. Posiadł wiedzę tajemną, studiując pradawne, pogańskie księgi. Jego mieszkanie znajdowało się w owym starym dębie, który dawno już usechł i próchnica strawiła go już od środka.

Przejeżdżał tamtędy Mikołaj Zebrzydowski. Był on młodym, silnym i poważanym rycerzem. Miał długie, jasne włosy, piwne oczy, i pociągłą twarz. Wsławił się w wielu ważnych bitwach, więc król pozwolił mu zbudować zamek, gdzie będzie chciał. Mikołajowi bardzo spodobało się to jezioro. Jednak z daleka zobaczył go pustelnik. Szybko wybiegł ze swojego dębu i zaczął prosić Zebrzydowskiego, żeby ten nie ścinał drzewa. Jednak król - Bolesław Chrobry - kazał kiedyś wycinać wszystkie święte dęby, zwane „Dziadami”. Mikołaj postanowił, mimo błagań pustelnika, wyciąć wielkie drzewo i zbudować tam zamek. Nie był to dobry pomysł, gdyż prastary dąb był właśnie dziadem. Za to stary pustelnik w wielkiej furii rzucił na zamek klątwę w bardzo starym języku, a Mikołaj mógł tylko bezsilnie wpatrywać się w starca. Gdy pustelnik skończył Mikołaj stał nadal zdębiały patrząc na oddalającego się w kierunku Łopiennych Bagien pustelnika.

Zebrzydowski nie zważając na klątwy i przestrogi nakazał budowę zamku. Na budowie pracowało trzystu robotników. Prace bardzo się dłużyły, a pracowników wciąż ubywało. Klątwa sprawdzała się i codziennie potęgowała swoją moc. Mikołaj, aby odwołać klątwę udał się do druida po radę. Szedł pieszo przez trzy dni i trzy noce, użalając się nad swoim losem.

Wreszcie doszedł do druida. Starzec miał długą, siwą brodę, sięgającą mu do pasa i szare włosy. Oczy błękitne i bardzo głębokie. Nosił długą, zieloną opończę, przepasaną czarnym pasem. Nie miał połowy zębów, co bardzo pogarszało jego wygląd. Krzaczaste brwi otaczające jego oczy zrastały się nad orlim nosem. Był wysoki i szczupły. Miał długie ręce i palce u rąk.

Jednak Zebrzydowski wiedział, że jest to wielki druid, bo słyszał o nim, aż w Gnieźnie. Jego sława sięgała także daleko na południe i wschód. Mikołaj postanowił opowiedzieć staruszkowi, co się wydarzyło.

- Cóż… Takiego przypadku jeszcze nie miałem – powiedział druid. – Powtórz mi słowa klątwy.

Zebrzydowski posłusznie spełnił prośbę druida, bo choć przez te wszystkie dni starał się wyrzucić z pamięci ten ostro brzmiący język, to zapamiętał klątwę słowo w słowo.

- To bardzo stary język używany na południu Europy – powiedział druid. – Poznałem go wiele lat temu, studiując pradawne księgi.

Zebrzydowski usłyszał, że według klątwy, musi posadzić dwa dęby: jeden w miejscu wschodu słońca w dzień przesilenia letniego, a drugi w miejscu zachodu słońca w dzień przesilenia zimowego.

- Posadź też wiąz, ale koniecznie o północy w Ekwinokcjum, a klątwa będzie darowana – powiedział druid. – Tylko uważaj na Jeźdźców Burzy! Jeśli ich zobaczysz magia liczb, o której mówił pustelnik, spełni się i po paru wiekach nie zostanie nic po zamku i tylko kilka osób będzie pamiętało o zamku i dostatku osady.

Aż do Ekwinokcjum wstrzymano wszelkie prace. Gdy nastała północ, Zebrzydowski posadził wiąz. Klątwa została darowana. Mikołaj wrócił do zamku i usiadł rozmyślając o owych Jeźdźcach. Wyobrażał ich sobie jako dostojnych rycerzy na białych rumakach, w złotych zbrojach. Mikołaja, mimo usilnych starań, zmorzył sen. Przyśniło mu się siedmiu jeźdźców na szkieletach koni w resztkach kropierzy, a oni sami w przerdzewiałych zbrojach i… w trupich maskach! Porywali oni dzieci, palili wsie i zabijali chłopów. Zebrzydowski nie uznał tego jednak za zły znak, gdyż nie miał pojęcia, że tak właśnie wyglądają Jeźdźcy Burzy. Budowę wznowiono z nową siłą. W niecały rok na najwyższym wzgórzu, nad jeziorem, stał ogromny zamek. Zebrzydowski postanowił w nim zamieszkać i założyć osadę. Po długich sporach jak ma się ono nazywać, Wiązowno, od słynnego wiązu posadzonego w Ekwinokcjum, czy Więcbork, od więc – burg, czyli zamek, z języka niemieckiego. Ostatecznie wybrano tę drugą nazwę. I tak, przez kilka pokoleń rozrastał się ród Zebrzydowskich. I choć co siedem lat Jeźdźcy Burzy zabierali im pierworodnego syna, to Zebrzydowscy nie wyjeżdżali z zamku. Jednak sto dwudziestego trzeciego Ekwinokcjum, rozpętała się ogromna burza. Świetlista błyskawica uderzyła kilka łokci od murów zamkowych robiąc ogromną dziurę w ziemi, w którą zapadła się wschodnia część murów. Zerwała się też straszna wichura, która przewróciła ogromny wiąz, dwa dęby oraz pozostałe drzewa na zamek. Ogromne pnie zdruzgotały północną i zachodnią ścianę oraz zabiły setki ludzi. Południowa ściana, która już od kilkunastu lat zapadała się, runęła do jeziora. I tak, żyjący w dostatku Zebrzydowscy musieli ostatecznie opuścić zamek, który z czasem popadł w ruinę. Po budowli zaczął piąć się trujący bluszcz, systematycznie doglądany przez Lecha z Łopiennych Bagien. Dokładnie czterdzieści trzy lata po zniszczeniu zamku zerwała się ogromna burza z piorunami i straszny huragan, który poprzenosił góry piachu i kamieni ze wzgórz. Zamek został zasypany, ale bluszcz, jeszcze przez trzydzieści cztery lata piął się po wzgórzu. W końcu mieszkańcy Więcborka zdecydowali wyrąbać ten bluszcz i spalić go. Dym, z palonego, trującego bluszczu miał kolor granatowy i długo unosił się nad miastem, aż w końcu odmuch wiatru przewiał go nad wzgórza. Tam uformował się w zamek z otwartą bramą, zakończony trzema koronami. To dziwne zjawisko dało początek herbowi Więcborka.

Niestety zdarzenie to zostało przez lata zapomniane, aż Zebrzydowscy, ich zamek oraz pochodzenie herbu popadło w niepamięć.

---ZAMEK NA WZGÓRZU WISIELCÓW---

Dzień chylił się już ku zachodowi, ostatnie promienie słońca złociły trawę na Wzgórzu Wisielców. Widok było naprawdę przepiękny. Jednak nikt bywały w tamtych stronach nie dałby się zwieść. Wzgórze było owiane złą sławą, każdy znał jego historię, nikt w nią nie wątpił. W każdym razie nikt bywały w tamtych stronach…

Stary człowiek wyrwał się z zadumy, gdy usłyszał skrzypnięcie drzwi wejściowych gospody. Niechętnie oderwał wzrok od okna i majaczącego gdzieś na horyzoncie wzniesienia by spojrzeć na przybysza. Nie rozpoznał młodego mężczyzny, stwierdził więc, iż musi być on tu przejazdem. Obcy wyglądał na zmęczonego, zapewne miał za sobą długą podróż.

Wędrowiec podszedł do baru i zamówił piwo, po czym usiadł ciężko przy jednej z ław. Stary człowiek zastanawiał się chwilę, po czym podniósł własny kufel i ruszył w stronę owego mężczyzny. Młodzian oczy miał przymknięte i wyglądał, jakby drzemał. Staruch postanowił go jednak obudzić.

- Z daleka jedziesz, dobry Panie? - zapytał.

Podróżny otworzył leniwie oczy, by zobaczyć, kto mu przeszkadza.

- Z Krakowa - odpowiedział, patrząc, jak stary człowiek siada naprzeciwko niego. Nie wyglądał groźnie…

- Daleka więc za Panem droga, zmęczenie pewnie do gospody skierowało.

Wędrowiec nic nie odpowiedział, pokiwał jedynie głową.

- Dzisiaj już chyba waćpan nie wyrusza? Ot, słoneczko zaszło prawie, noc zapada - powiedział starzec, wskazując ręką okno, przez które sam jeszcze przed chwilą obserwował wzgórze.

- Widzę - mruknął mężczyzna, i uświadomił sobie, że nie tak łatwo pozbędzie się niechcianego kompana - lecz do Zalewu już niedaleko, śpieszno mi czym prędzej podróż zakończyć.

Staruch zachłysnął się piwem, wytrzeszczył oczy ze zdziwienia. Lub z przerażenia.

- Ależ, Panie, nie chcecie chyba po nocy podróżować… Toż jedyna droga do Zalewu obok Wzgórza Wisielców wiedzie!

Młodzian zadarł głowę i spojrzał hardo na swojego rozmówcę.

- I cóż z tego? Ja nikomu nie wadzę, a i pieniędzy już nie mam, nawet obrabować nie ma mnie z czego.

- Widać, żeś nie tutejszy, Panie - starzec pokręcił głową i ściszył nieco głos, jakby miał zamiar wyjawić jakąś tajemnicę - Wiedz więc, że jeszcze się taki nie urodził, co zebrałby się na odwagę, by po nocy, samotnie, Wzgórze Wisielców nawiedzać…

- A czegóż mam się obawiać? Czas nagli, zwlekać dłużej nie mogę… Bywaj, dobry człowieku.

Już chciał wstać, kiedy staruch chwycił go mocno za ramię, coś w jego twarzy kazało młodzianowi pozostać na miejscu i wysłuchać go do końca.

- Jeśli wola taka, niech Pan jedzie, nie będę zatrzymywać. Ale najpierw niech waćpan lepiej wysłucha pewnej historii, której skutki do dzisiaj nierozważni ponoszą. Widzisz Pan tamto wzgórze? To, za którym słońce się właśnie chowa? Wzgórzem Wisielców, lub tez Strasznym Wzgórzem jest nazywane, nie bez przyczyna miano takie uzyskało… Dawno temu, w miejscu, w którym wzniesienie owo się znajduje, stał kiedyś zamek. W zamku owym…

\*\*\*

W zamku owym mieszkał kiedyś bogacz, człowiek równie skąpy, co okrutny. Jego ulubionym zajęciem było gromadzenia skarbów i ciągłe powiększanie swojego majątku. Względów nie miał dla nikogo, nie znał współczucia ani łaski. Choć posiadał niemal wszystko, a jego skarbce i spiżarnie były wypełnione po same brzegi, biedniejszym od siebie pomocy nie udzielał nigdy.

Miał on jedną córkę, piękność nad pięknościami, lecz serca złego i zatwardziałego. Wdała się ona w ojca, i w miarę upływu czasu stała się gorsza nawet od niego. Ona to była w posiadaniu kluczy otwierających wszystkie skarbce i spiżarnie. Cały dzień przechadzała się po zamku, a klucze przywieszone do jej paska podzwaniały wesoło. Zajmowała się również przydzielaniem jedzenia poszczególnym osobom. Panom i gościom zamku nie skąpiła niczego, jednak liczna służba cały czas cierpiała głód. Poddani, osłabieni ciężką pracą i głodowymi racjami, pomstowali często na dziedziczkę. Czasem ktoś, zebrawszy się na odwagę, szedł do pana na skargę, prosząc o jedzenia dla siebie i towarzyszy. Zawsze jednak spotykał się z odmową.

Pewnego razu, gdy panna dowiedziała się o skardze jednego ze sług, wpadła we wściekłość. Zaczęła ubliżać służbie i zagroziła, że jeśli zdarzy się to jeszcze raz, to powie ojcu, że zamiast wykonywać swoje obowiązku, śpią tylko i odpoczywają.

Przy okazji następnej skargi spełniła swoja groźbę. Ojciec bez wahania uwierzył swojej córce. Poddani, którzy przyszli z prośbą o jedzenia, zostali wychłostani. Prosili o łaskę, dziedziczka śmiała się tylko i kazała pachołkom kijów nie szczędzić. Słudzy byli bici aż do utraty przytomności. Jeden z nich, człek niemłody, który z reki swego pana niejedno już wycierpiał, uniósł nagle prawicę do góry i straszne przekleństwo rzucił na dziewczynę i jej ojca, życząc im, aby ziemia pochłonęła ich z całym majątkiem.

Wtedy niebo nagle pociemniało, mrok raz po raz rozświetlały błyskawice, a krzyk ludzi zagłuszały gromy. Wszyscy zaczęli uciekać w panice, chcąc jak najszybciej opuścić zamek. Na próżno Pan nawoływał poddanych, żaden z nich nawet się nie obejrzał. A gdy w zamku pozostał tylko on i jego córka, ziemia pochłonęła ich oboje, budowlę i cały dobytek w niej zgromadzony.

Od tego czasu znajduje się w tym miejscu wzgórze. Nikt nigdy nie wyraził ochoty, aby się osiedlić w jego okolicy. Dlatego stało się ono miejscem egzekucji, od czego później wzięła się jego nazwa.

Ponoć w ciemną, burzliwą noc można czasem ujrzeć na szczycie piękna dziewczynę, potrząsającą pękiem kluczy i uśmiechem uwodzącą nierozważnych młodzieńców. Zjawa zwabia ich ponoć do podziemi, mówiąc, że w zamku czekają na nich niezliczone bogactwa. Nikt jednak nigdy z podziemi nie powrócił, aby potwierdzić tę pogłoskę.

\*\*\*

Wędrowiec roześmiał się, gdy starzec dramatycznym szeptem zakończył swoją opowieść.

- To tylko historia przez ludzi wymyślona, aby dzieci straszyć, dobry człowieku. Jeśli chcesz wiedzieć, ja właśnie po to przybyłem, aby zdobyć skarby pod wzgórzem zaległe. A gdy będę wracać, wstąpię do tej karczmy i wyprawię ucztę, jakiej nikt jeszcze w tej mieścinie nie przeżył!

Po czym owinął się szczelniej płaszczem i wyszedł z karczmy wprost w objęcia nocy. Od tamtej pory już nikt go nigdy nie widział.

---KSIĄŻĘ ALCHEMIKÓW---

Roku pańskiego 1566 w okolicy Nowego Sącza przyszedł na świat chłopiec. Nadano mu imię Michał, Michał Sędziwój. Okazał się bardzo zdolny i utalentowany. Po skończeniu szkoły elementarnej w swoim rodzinnym mieście, prawie jeszcze jako dziecko dostał się na Krakowski Uniwersytet. Początkowo studiował medycynę jednak szybko zmienił zdanie i postanowił zostać... Alchemikiem. Chciał odkryć tajemnice kamienia filozofów oraz sposób na przemianę zwykłych, małowartościowych metali w szlachetne a dokładnie uzyskanie z nich czystego złota. Dzięki fortunie, którą odziedziczył po Ojcu wyruszył w świat by spotkać się i pobierać nauki od najlepszych alchemików ówczesnego świata. Wędrując po siedemnastowiecznej Europie nabywał różne przedmioty, księgi, zapiski, stare rękopisy itp. W czasie swych podróży przeprowadzał również przeróżne eksperymenty z naprzemiennymi efektami końcowymi. Dzięki temu w kręgach alchemickich stał się osobą znaną i poważaną. Nazywali go Sendivogius Polonus. Podczas swych wypraw nie udało mu się wprawdzie odkryć czegoś, co przyniosłoby mu chwałę, ale jedna z podróży odmieniła całe jego dotychczasowe życie.

Będąc w Saksonii napotkał uwięzionego przez chciwego księcia Christiana, włoskiego Alchemika Sethona. Sędziwój pomógł mu w ucieczce z wilgotnego lochu a ten w dowód wdzięczności ofiarował mu mieszek proszku, który zmieszany z ołowiem przemiał go w złoto. Mimo błagań Włoch nie zdradził składu proszku i metody jego przygotowywania. W kilka dni po odzyskaniu wolności Sethon wyczerpany przez tortury zadane mu w niewoli, zmarł zabierając tajemnice do grobu. Pozostawił Michałowi po sobie księgi, zapiski oraz swoją młodą żonę Weronikę. Po ślubie alchemik zabrał swą małżonkę do Czech. Został tam wezwany przez cesarza Rudolfa II, który również zgłębiał tajemnice kamienia filozofów. Podczas jednego z pokazów na zamku Polak wrzucił do kotła kawałek ołowiu, dodał odrobinę magicznego proszku i zamieszał. Ku zdziwieniu królewskiego dworu i wszystkich zebranych wyciągnął złotą sztabkę. Cesarz wręcz umierający z zachwytu i radości kazał inskrypcje o tym wydarzeniu uwiecznić na sklepieniu jednej z komnat. Wieść o wspaniałym czynie rozniosła się szybko po całej Europie, a nasz rodak zyskał miano „Księcia Alchemików”

Gdy tylko wieść doszła do Wirtembergii cesarz Fryderyk III zaprosił go do siebie. Władca celowo sprowadzał na dwór wielu alchemików wierząc, że pomogą mu zapełnić skarbiec złotem i nie tylko. Niestety wielu z nich okazało się zwykłymi oszustami i kończyli na szubienicy, pozłacanej oczywiście. Tym razem jednak było inaczej Sędziwój z powodzeniem prezentował swe doświadczenia, lecz spotkała go z tego powodu niemiła przygoda. Na dworze przebywał wówczas Muhlenfels – faworyt królewski w dziedzinie alchemii, do tej pory przynajmniej. Będąc zazdrosny o laury i zaszczyty Polaka zniszczył jego aparaturę i zabrał cudowny proszek a jego samego porwał i uwięził w lochu. Michał dzięki pomocy swego wiernego przyjaciela Badowskiego uciekł z więzienia i oskarżył Muhlenfels’a o kradzież. Sprawca przykrego incydentu został surowo ukarany a Fryderyk III chcąc wynagrodzić szkodę Sendivogius’a nadał mu tytuł barona Serubau i dobra Leiningen. Książe Alchemików jednak szybko sprzedał ziemie, dzięki czemu pozyskał fundusze na dalsze podróże i doświadczenia.

Przygnębiony stratą daru Sethona postanowił wrócić do Nowego Sącza, do swego rodzinnego miasta. Po pewnym czasie udał się na dwór króla Zygmunta III Wazy, lecz po nieudanych próbach odtworzenia choćby uncji magicznego proszku wyjechał. Udał się na Śląsk i tam kupił posiadłość. Spędził tam resztę swojego życia na kolejnych testach i tęsknocie za domem. Nie udało mu się wprawdzie rozwikłać tajemnicy kamienia filozofów, ale pozostawił po sobie bardzo wiele cennych i do dziś uznawanych odkryć w dziedziny nauki, jaką jest chemia.

Michał Sędziwój, Książe Alchemików zmarł w 1646 roku. Jednak tęsknota z domem nie pozwoliła mu opuścić ziemskiego padołu i wielokrotnie widywano go w nocy wędrującego w uniwersyteckiej todze Sądeckimi ulicami. Spacerował przy pełni księżyca nie rzucając cienia i rozsypując wokół widmowe złote monety. Najczęściej spotykano go w noc Sylwestrową a każdemu, komu sypnął monetami przez cały następny rok mnożyły się zyski. Więc jeśli kiedyś będziecie w Nowym Sączu na koniec roku to w tą ostatnią noc, gdy zegar na wierzy Ratusza będzie wskazywał północ wyjdźcie na rynek, obejdźcie go dookoła - może i wam Książe Alchemików sypnie złotem na ten nowy szczęśliwszy rok.

Dawne opowieści o wężach

O wężach prawiono różnie. A to, że mają one swojego króla, co na głowie nosi koronę i rządzi innymi, to znowu, że za dokuczanie mszczą się i mogą nawet udusić.

Dawniej węże żyły w przyjaźni z człowiekiem, a człowiek je szanował i pozwalał im przebywać w oborze i chałupie. Babka mówiła , że ssały krowy i nieraz zabawiały dzieci. Opowiadano też, że węże wyczuwały jaka będzie zima i jak głęboką maja wykopać sobie kryjówkę, a gdy nadszedł czas siewów ozimych, wchodziły na drzewa i razem ze żmijami słuchały jak na uroczyskach Żercy i Guślarze odprawiali żertwy i wróżby czynili na rok następny, a potem schodziły w głąb ziemi. Starzy ostrzegali aby w dniu tym nie przebywać ani w lesie, ani w sadzie ani tam gdzie rosną jakiekolwiek drzewa, a to dlatego ,żeby uszanować święto gadów i nie sprowadzać na siebie nieszczęścia.

.

Duch pasiecznik

Żył przed laty sławetny ,a jakże pszczelarz, Wawrzon Olbiński. Miał on ci wielgachną pasiekę na głębokich supłach, gdzieś niedaleko leśnej prześlogi. Ojce mówili .że okopana była rowem i obtoczona wałem. I gadali też ,że w samym środku , gdzie złocił się kierz dziewanny, stał ulok-odmieniec, niby starzec jaki , z długą brodą i grzywą. W nim to miał przemieszkiwać dobry duch-pasiecznik, który opiekował się pszczelną chudobą Olbińskiego.

Rabsiki i guślarze , co to niby mieli go widzieć ,powiadali , że kręcił się po pasiece jako smukły człowieczyna w białym przyodzianiu, w reku miał podkurzacz, z którego na wszystkie strony walił okrutny dym. Pono rzucał on czary na tych , co chcieli okradać ule z miodu i wosku. Miały mu w tych czarach pomagać wilcze kły i pazury, co wisiały na otworze ulotka, w którym przemieszkiwał. Pono w każde południe , jako że był przezorny gospodarek , obchodził pasiekę i pilnie pozierał , czy w każdym wylotku dobrze sprawują się robotne pszczółki i czy nie kręcą się tręty i skarle. Raz do roku na początku sierpnia w jego święto ,Olbiński składał ofiare swojemu duszkowi. Przed jego ulokiem stawiał na kamieniu miód w skorupce, a obok kładł kawałek rżanego chleba. Pono duch -pasiecznik wielce z tego był rad.

.

Kwiat paproci

Jednemu chłopu w dzień przed nocą kupalną zginęły konie. Szukał ich po wsi, po łąkach i pastwiskach. Na próżno.

Powędrował w końcu do ciemnego boru . Tam szukał po ługach i drogach. Już zapadła noc , a on wciąż biegał i wołał;

-Cieś , ciesiu ,cieś , ciesiu….-tylko echo rozlegało się miedzy drzewami.

O północy znalazł się na Białym Ługu , gdzie rosły wielkie paprocie. Już nie biegł, ale szedł noga za nogą, bo czuł coraz to większe zmęczenie. Chciał usiąść na zielonym wrzosie, aż tu nagle ogarnęła go uniezwykla błogość i zobaczył ,gdzie są jego konie. A potem jawiły mu się jeszcze jakieś inne dziwy. Serce jego wypełniło się wielkim szczęściem.

-Bogi wielkie!!!! – wołał ucieszony chłop. – Toż niechybnie dostał mi się kwiat paproci.

Co tchu w piersiach pognał tam gdzie spokojnie pasły się jego konie. Połapał je i przyprowadził do stajni , a sam poszedł do chałupy. Gdy zdejmował buty , kwiat paproci wyleciał , a z nim szczęście ,które trwało tak krótko.

W noc Kupały paśli chłopy woły na ugorze. Siedzieli przy ognisku i prawili o dawnych czasach.

W pewnej chwili jeden z nich , a był to Lewuniok odezwał się w te słowa:

- Słuchajcie, nadchodzi północka , a wiadomo , o takiej porze kwitnie cudowna paproć. Niedaleko stąd jest długi rów , a w nim , jak w najśliczniejszym gaju , pełno zieloniutkich paproci. Chodźmy tam!!

- Chodźmy!- zawołali wszyscy i pośpiesznie ruszyli do podmokłego rowu.

Pokładli się nad nim i zaczęli wpatrywać się w tajemniczy gąszcz . Przez dłuższy czas leżeli na zorowiu w grobowym milczeniu. Tylko z dala dolatywały do nich sobótkowe pokrzykiwania i pieśni smutne i radosne.

Lewuniok pierwszy zobaczył , że na czubku najniższej paproci rozjaśniał piękny, biały kwiat. Chciał go zerwać, wyciągnął rękę , a tu patrzy, żmija wychyla swoją głowę i przeraźliwie syczy. Krzyknął wiec z wielkiej bojaźni. W tej samej chwili przeleciał nad nimi straszliwy świst wiatru , a potem jeszcze straszniejszy trzask łamanych drzew i gałęzi. Wszyscy struchleli ze strachu. Leżeli na pół żywi. Jak tylko się trochę uspokoiło , zerwali się z zorowia i co tchu pobiegli miedzy woły.

Widać nie im był pisany cudowny kwiat paproci.

---JEDNOŚĆ W BIEDZIE---

Było to w dzień przed nocą kupalną . Po wsiach panował głód i szerzyły się choroby. Nikt nie myślał o paleniu sobótek i puszczaniu wianków . Młodzi i starzy , wszyscy byli smutni i udręczeni. Wtedy to najbliżsi sąsiedzi wybrali się do boru na jagody. Zabrali ze sobą gliniane dzbany i lipowe kobiałki. Szli zatrwożeni i niewiele z sobą mówili, bo i nie było o czym. O tej strasznej biedzie i przednówku?

W cichości doszli do Zawałów , gdzie każdego roku było pełno jagód . Rozglądają się , a jagód nie ma. Idą do bukowiny - to samo. Idą do Białego ługu- to samo. Widać tam już tylko pożółkłe liście. Idą na Zieloną Górę- tam jagód też nie ma. Idą dalej ....

Upływa godzina , a może i więcej , jak wszyscy zeszli się na borowym pagórku. Puste maja dzbany i kobiałki. Ino leciwa Sekulina znalazła jedną jagodę. Pokazuje ją na dłoni ; duża , jak owoc dojrzałej czereśni, ku zdziwieniu wszystkich rozciera jagodę na sosnowym pniu i powiada:

- wszyscy ją będziemy spożywać w biedzie na sąsiedzką jedność.

Pierwsza uklękła i pokłoniła się i włożyła do ust drobinę roztartej jagody. Po niej inni zrobili to samo. A gdy skończyli , wrócili do wsi przez borowe knieje , z nadzieją i wiarą w sercach.

---Z WOLI WELESA---

Jeden chłop poszedł do boru podbierać miód . wlazł na sosnę i zabierał się do roboty . Nie zdążył jeszcze usunąć zotworu , a tu posłyszał ogromny szelest . Patrzy i nadziwić się nie może . Stoi Weles brodaty z drzewcem w ręku , a wkoło niego gromadzą się wilki. Jak tylko zwierzęta się zebrały , Weles rzekł do nich gdzie mają iść na żer. W pewnej chwili polecił staremu wilkowi zjeść łaciatą jałowicę , własność tego chłopa , co siedział na drzewie. Chłop , gdy to usłyszał , struchlał z przerażenia i frasunku. Teraz już tylko czekał z wielką niecierpliwością , kiedy zakończy się wilcze zgromadzenie. Gdy wszyscy się rozeszli, chłop prędko pobiegł do chałupy i powiadomił o nieszczęściu swoją kobitę. Radzą ... radzą ... W końcu kobieta mówi:

-Jeśli wilk po maści ma poznać naszą jałowicę , to ma innego sposobu , ino trza ją obszyć prążkową płachtą , a ty mój chłopie , na pewien czas musisz się ukryć.

Przyszedł wilk na pastwisko , szuka i szuka , i poznać nie może jałowicy , co mu ja Weles przydzielił.

Rozgniewał się wilk i postanowił rozszarpać chłopa , co go przechytrzył, ale ten ukrywał się na strychu i tylko dziurą wyglądał na pola i bór. Wilk chodził i węszył cały dzień i całą noc, i drugi dzień i drugą noc na próżno. Minął tydzień , miesiąc , a chłop jeszcze żyje.

Po kilku tygodniach chłop wyszedł z ukrycia i poszedł na wieś do kowala. Patrzy , a od boru miedzy redlinami pędzi wilk. Nim zdążył wpaść do kuźni , dopadł go wilk i rozszarpał . Jak zbiegli się ludzie , stara Dobromira powiedziała:

* sprzeciwił się woli samego Welesa i tak marnie musiał zginąć , i to o co poszło , o łaciatą jałowicę!....

---SAMOTNA SOSNA---

Przy świńskiej drodze , na wzgórzu , tuż nad strugą stała samotna, rozgałęziona sosna . Zwali ją matką albo nasiennicą , bo rodziła jąderka , z których rosła borowa gęstwina. Szanowali ją i poważali jak jakąś świętość .Wkrótce w sosnowej dziupli pszczółki założyły sobie siedlisko.

I tak latami stała i szumiała sosna na wzgórzu , nad strugą , ludzie jej się kłaniali i uważali za Boże drzewo. Aż tu któregoś jesiennego dnia zapadła uchwała, że sosnę - matkę trzeba ściąć , a na jej miejscu wystawić gromadzką tarnie .Wyznaczyli wysoką nagrodę . Przyszło kilku chłopów do roboty. Popatrzyli , podumali , ale żaden sosny nie tknął, bo się bał kary Bogów. Dopiero Antek z sąsiedniej wsi porwał się na sosnę. Mówili ,że jak ją rąbał to krew z niej ciekła. Długo nie cieszył się nagrodą , bo w trzecim tygodniu życie postradał rażony piorunem. Przerażenie we wsi było wielkie.

Odtąd tu straszyło . Na ubłaganie Bogów ludzie znosili jadło i miody i składali w ofierze prosząc o litość .Tak ciężko los ich pokarał za wycięcie tego świętego drzewa.

---SIOSTRY ZMIENIONE W ŁABĘDZIE---

Były trzy siostry , wszystkie ładne , dobre i wesołe. Kochały się bardzo . Jednej było na imię Dobrusia ,drugiej Sławka , a trzeciej , najstarszej Jagódka.

Razu pewnego postanowiły iść na Żertwe na stare uroczysko , co było pośrodku ciemnego boru. Zerwały się z posłania o pierwszym pianiu kokota, ubrały się , coś niecoś zjadły i wybiegły przed chałupę. Księżyc był wtedy akurat w nowiu i niewiele dawał blasku. Toteż ciemność zalegała dokoła. Siostry w obawie , aby się nie pogubiły , chwyciły się za ręce i wędrowały samym środkiem piaszczystego gościńca.

Pierwsze wiorstwy przeszły w milczeniu , potem zaczęły cichutko śpiewać .

Tak dotarły do wielkiego zielonego Dębu Perunowego na rozstajach . Tam skręciły w lewo . Minęły jezioro i wkrótce znalazły się w brzozowym gaju, gdzie znajdowały się mogiłki potępieńców. Przywarły jeszcze bardziej do siebie , a gdy szły dalej , słyszały tajemniczy szum drzew i wołanie; - Pójdź ! Pójdź! Pójdź!

Na skraju owego brzozowego gaju przystanęły , żeby cokolwiek odpocząć i zastanowić się czy dobrze idą. Gdy tak się naradzały , nagle zauważyły w ciemnościach słabe , ledwo widoczne światełko. Ucieszyły się i natychmiast ruszyły w tamtą stronę .Nie minęło kilka minut , a już były pod oknem starej chałupy. Patrzą i wierzyć im się nie chce; w izbie stoi baba i smaruje sobie czymś pachy i spody stóp ,potem okrakiem siada na ożogu i głośno woła:

- Las , nie las, wieś , nie wieś, wietrze nieś!!!!!!!!!

Rozległ się głuchy trzask i rozczochrana baba odwróciła się do komina. Dobrusia nie wytrzymała i krzyknęła:

- Na Bogów Wielkich , toć to straszna Ciota !!! Uciekajmy!

Usłyszała to zła czarownica. Bardzo się rozgniewała i migiem dopadła do okna , rozwarła je na oścież i zawołała:

- Stańcie się łabędziami i odtąd żyjcie w wodach Czarnego jeziora !!

Gwałtownie zahuczało w powietrzu . Dobrusia i Sławka padły na zagony miedzy główki kapusty i zaraz też zamieniły się w białe, krzykliwe ptaki.

Tylko Jagódce , która zdążyła chwycić biedrzeniec , udało się uciec i co tchu pobiegła ku matczynej zagrodzie. Gdy już była na rozstajach , spotkała staruszka , który zagrodził jej drogę i odezwał się do niej spokojnie:

- Czemuś taka przerażona i tak się śpieszysz ?

- Panie wędrowcze , stało się wielkie nieszczęście ! Moje siostry zła ciota zza brzozowego gaju zamieniła w łabędzie i kazała im pływać po Czarnym Jeziorze!

- Wracaj do chałupy i pośpiesznie szyj dla sióstr koszulki z pokrzyw . Jeżeli je w przeciągu trzech dni przyodziejesz , to zaklęte siostry -ptaki odzyskają dawną postać .

Pocieszona Jagódka szybko poszła do matki, której wszystko , co się stało , opowiedziała z wielkim płaczem i zaraz zabrała się do roboty. O rannej rosie zrywała pokrzywy na ugorze , potem je suszyła i międliła , a z otrzymanych włókien przędła nitki. Z nitek tych tkała zgrzebne płótno. Późnym wieczorem przy płonącym łuczywie szyła koszulki dla swoich sióstr. Bardzo się spieszyła , bo w najbliższy ranek musiały być już gotowe . Przy tym smutnie powtarzała

Siostry moje kochane

Siostry łabędzie

Jutro waszym cierpieniom

Już koniec będzie

Nim zorza wzejdzie

Nim opadną wody

Wrócicie z powrotem

Do ludzkiej urody

Skoro świt przybiegła nad wody Czarnego Jeziora. Uklękła przy trzcinach i prosiła:

- Siostry - siostrzyce , łabędzie - łabędzice , przybywajcie , przybywajcie !

Trzy razy prośbę swoją powtórzyła . W pewnej chwili usłyszała ciche pluskanie i jękliwe głosy, a później coraz głośniejsze . Wreszcie ujrzała dwa śliczne łabędzie . Chwyciła pierwszego i ubrała go w koszulkę . Od razu zmienił się w uroczą dziewczynę . Była to Dobrusia. Potem złapała drugiego, i ubrała w koszulkę , ale że zapomniała w pośpiechu przyszyć jednego rękawka , odczarowana Sławka pojawiła się bez ręki. Rozpłakały się siostry i z wielkim płaczem wróciły pod matczyną strzechę.

W rok później udały się na uroczysko w ciemnym borze , aby za wszystko podziękować i prosić o opiekę wielkich Bogów.

---KWIAT PAPROCI---

Jednemu chłopu w dzień przed nocą kupalną zginęły konie. Szukał ich po wsi, po łąkach i pastwiskach. Na próżno.

Powędrował w końcu do ciemnego boru . Tam szukał po ługach i drogach. Już zapadła noc , a on wciąż biegał i wołał ;

-Cieś , ciesiu ,cieś , ciesiu....-tylko echo rozlegało się miedzy drzewami.

O północy znalazł się na Białym Ługu , gdzie rosły wielkie paprocie. Już nie biegł, ale szedł noga za nogą, bo czuł coraz to większe zmęczenie. Chciał usiąść na zielonym wrzosie, aż tu nagle ogarnęła go uniezwykla błogość i zobaczył ,gdzie są jego konie. A potem jawiły mu się jeszcze jakieś inne dziwy.

Serce jego wypełniło się wielkim szczęściem.

-Bogi wielkie!!!! - wołał ucieszony chłop. - Toż niechybnie dostał mi się kwiat paproci.

Co tchu w piersiach pognał tam gdzie spokojnie pasły się jego konie. Połapał je i przyprowadził do stajni , a sam poszedł do chałupy. Gdy zdejmował buty , kwiat paproci wyleciał , a z nim szczęście ,które trwało tak krótko.

6. W noc Kupały.

Nocą , w czas Kupały paśli chłopy woły na ugorze. Siedzieli przy ognisku i prawili o dawnych czasach.

W pewnej chwili jeden z nich , a był to Lewuniok odezwał się w te słowa:

- Słuchajcie, nadchodzi północka , a wiadomo , o takiej porze kwitnie cudowna paproć. Niedaleko stąd jest długi rów , a w nim , jak w najśliczniejszym gaju , pełno zieloniutkich paproci. Chodźmy tam!!

- Chodźmy!- zawołali wszyscy i pośpiesznie ruszyli do podmokłego rowu.

Pokładli się nad nim i zaczęli wpatrywać się w tajemniczy gąszcz . Przez dłuższy czas leżeli na zorowiu w grobowym milczeniu. Tylko z dala dolatywały do nich sobótkowe pokrzykiwania i pieśni smutne i radosne.

Lewuniok pierwszy zobaczył , że na czubku najniższej paproci rozjaśniał piękny, biały kwiat. Chciał go zerwać, wyciągnął rękę , a tu patrzy, żmija wychyla swoją głowę i przeraźliwie syczy. Krzyknął wiec z wielkiej bojaźni. W tej samej chwili przeleciał nad nimi straszliwy świst wiatru , a potem jeszcze straszniejszy trzask łamanych drzew i gałęzi. Wszyscy struchleli ze strachu. Leżeli na pół żywi. Jak tylko się trochę uspokoiło , zerwali się z zorowia i co tchu pobiegli miedzy woły.

Widać nie im był pisany cudowny kwiat paproci.

---PODRÓŻ PRZEZ CIEMNY BÓR---

Była letnia księżycowa noc. Na niebie świecił miesiączek w pełni. W tę noc wybrał się sołtys ze Świątek w daleką podróż .Mówili że do najmłodszego syna , który od roku przebywał w grodzie.

Droga sołtysowi wypadła przez wielki bór, który rozciągał się wedle Klonówki. Szedł wolno od czasu do czasu spoglądając na radosny miesiączek, co oświetlał piaszczystą drogę lub spozierał w głębinę tajemniczego boru .Nagle patrzy a tu obok niego idą stare ,chude wilki i cosik sobie mruczą .Przez głowę przeleciała mu myśl ,że pewnikiem to nie wilki, ino jakieś złe duchy .Toteż zaraz chwycił amulet zawieszony na szyi i machnął osikową laska na lewo i prawo, ale wilki ani drgnęły. Szły sobie dalej jakby nigdy nic.

Idzie strwożony sołtys i tylko myśli, jakby się tu z tej strasznej przygody ratować. Przeszedł już Jamy Wilcze i Jamy Lisie, przeszedł Pólko Lipieckie. Na leśnym rozdrożu zatrzymał się ,pomyślał chwile ,a potem ruszył na uroczysko gdzie stał stary ,drewniany posąg Boga Welesa .Tam padł na kolana ,wyjął z torby kawałek chleba i baryłkę piwa .Chleb złożył pod posągiem ,piwo ulał z wielką czcią i począł się modlić:

Welesie, Welesie panie wielki

Odpędź proszę te złe wilki

Gdy skończył wstał i wrócił na swoją drogę . Jakie było jego zdziwienie, gdy zobaczył ,że pod dębem czekają wilki.

-O wielcy Bogowie! -zawołał zrozpaczony, lecz ruszył w dalszą drogę. Wilki wnet go otoczyły i szły z nim krok w krok. I tak sołtys w trwodze przebył kawał boru i doszedł do gajówki, co stała niedaleko leśnej strugi. Niewiele się namyślał i wszedł do środka, opowiedział o swojej przygodzie i poprosił o pomoc. Wtedy borowy powiedział mu:

-człowieku, nie bój się wilków , one cię nie zjedzą, bo jesteś pod opieką wielkiego Welesa.

Gdy sołtys opuścił gajówkę wilków już nie było, tylko w głębi boru rozlegały się ich przeciągłe wycia. Wtedy sołtys ruszył szczęśliwy w dalszą drogę

Gawęda o kowalu I diable

Był jeden kowal, miał stare kowadło. Więcy nic nie chciał, tylko żeby chto na tym kowadle usiądzie, wstać x niego nimógł, aż ón mu pozwoli. I miał kruszkę (gruszę) za swoją kuźnią. Chciał, jak chto wlizie po kruszki, żeby zliść z nij nie móg, aż on mu pozwoli. I miał torbę z pieniędzmy, i chciał tyż: chto wetchnie po te pieniądze rękę, żeby wyjąć ni móg, aż ón mu pozwoli.

Przyleciał diabeł do kowala, co go chciał wziąść do piekła. Kowal tyż mówi do diabła: "Czekaj no trochę, zrobię parę gożdzików, to nam się tam w piekle zdadzą." Diabeł stoi i czeka, a kowal mówi: "to usiądź na tem kowadle, posiedź trochę." Diabeł usiad, kowal tyż porobił co miał porobić i woła diabła: "no pójdż!" Diabeł wstać z kowadła ni może. Kowal kładzie żelazo w ogień, piaskiem posypuje, wali młotem w kowadło, skry na diabła pryskają, parzy diabła. Diabeł uciec ni może. Przesiedział na tem kowadle trzy lata, ale się go (kowala) prosi, że już więcy po niego nie przyńdzie, żeby go puścił z tego kowadła. Kowal go tyż puścił. Diabeł poleciał i już nie chce po kowala przyjść.

Ten drugi diabeł mówi: "ja pójdę po niego, a ja go przyprowadzę." Przyszed drugi diabeł. Kowal mówi do niego: "zaraz ja idę, tylko się zabierę, a ty idź urwij tymczasem kruszek na droge." Diabeł poleciał; wlaz na kruszkę. Kowal idzie do kuźni i robi sobie w kuźni a diabeł na kruszce siedzi. I siedział bez trzy lata. Jak go się wzion prosić, że już więcy nie przjdzie po niego, żeby mu kazał z kruszki zliźć. Ón mu tyż kazał. Diabeł zlaz i poleciał. Po kowala już przyjść nie chce.

Trzeci diabeł powiada: "Ja pójdę po niego i ja go przyprowadzę." Przyszed trzeci diabeł i mówi do kowala: "pójdź! bo to już czas." Ón tyż się zbiera i nie chce z nim iść, ale mówi do diabła: "a wetchnij no ta rękę po pieniądze w torbę." Diabeł tyż chcący pieniędzy złapać, wetchnął w torbę pazur. Kowal tyż wzion go z torbą i cisnoł na ziemię. Diabeł pazura wyjąć ni może. Leży przy torbie z tym pazurem bez trzy lata, prosi sie kowala ażeby go puścił: "już ta nicht po ciebie nie przyjdzie." Kowal go tyż puścił. Diabeł tyż poleciał i już więcy żaden diabeł po kowala nie przychodzi, bo go się boją.

Kowal za kilka lat, ni mioł miejsca nikeń i idzie sobie we świat. Trafił aż do piekła. Diabły zobaczyły, że kowal idzie do piekła, złapały drzwi piekła i zatrzasneły, ażeby kowal nie wlaz do nich. Diabeł mówi jeden do drugiego, że: "kiedy nam tam zapiekał, to ón nam tu wszystkim jeszcze barzyj będzie zapiekał, wcale go nie puszczajma, niech ón sobie idzie gdzie chce." I bez to kowal do piekła nie poszed, bo go sie i sam diabeł boi.

Gadka spisana we wsi Więcławice w powiecie inowrocławskim.

Był jeden gospodarz bardzo bogabojny, a żonę miał nicpotem. Zawsze się z nim kłóciła, dobrego słowa mu nie chciała dać. On prosił Boga, żeby mu umarła. Jak umarła, ożenił się z jenszą. Ale zamiast wziąść lepszą, to ón wzion jeszcze gorszą. Alek znowuk Boga prosi ażeby mu umarła i to-ta. Ożenił się znok z trzecią. Ta trzecia jeszcze najgorsza nad wszystkie.

Tak Bóg dał, że umarł i ón i ostał się szczęśliwym. Diabeł przychodzi i kłóci się z panem Bogiem, że ten człowiek sie mógł dostać do nieba, a diabeł nie może. Pan Bóg jemu mówi: "Idźże do tyj kobity i siedź z nią bez trzy lata a jak trzy lata wysiedzisz, to cię do nieba przyjmę!"

Diabeł poleciał i ożenił się z tą wdową. I mieszka z nią, chcąc nolepi kobiecie robić, ażeby kobita się z nim nie kłóciła. Kobita pali w piecu, diabeł ij dopomaga. Kobita wygarnia z pieca ogień, chlib naszykowała do wsadzenia; żarzywie wielkie jest; gorąco ij. Diabeł się chce przysłużyć; złapał wody w garnyszek i chlusnął w żarzywie; kobitę jeszcze barzyj poparzył. Kobita lata jak wściekła. Kobita jak złapie drąga od pieca, jak weźnie diabła bić; diabeł nima się gdzie podziać, ale patrzy na drogę, że jedzie chłop z furą gałęzi.

Jak się wyrwie z domu, jak złapie tę furę i przewrócił na nie. Przykrył się temy gałęziamy, że już go kobita obaczyć ni mogła. Kobita za nim. Chłop się zastanowił, co się to zrobiło, że kobita z drągiem kole fury lota mu; lota kole gałęzi. Chłop mówi do kobity: "Cóż ja wom winien, coście my gałęzie obalili." Kobita odeszła, a diabeł się pyta: "A co, nima ij tam?" - a chłop powiada: "ni masz nikogo."

Diabeł wyloz z pod gałęzi, postawił furę nazad jak była i idzie za furą, żeby go kobita nie zobaczyła. Ale mówi on diabeł do chłopa, że: ci nie dam nic, bo teroz ni mom (pieniędzy); ale mo tu pon trzy córki, to ja tam pójdę i wletę w jednę; a ty się zrób dochtorem i przyńdź, to me wypędzisz, to ci pon zapłaci i ty będziesz miał pieniądze. A ja potym z tyj wyletę a wletę w drugą. To ty przyńdź i znowuk me wypędzisz. A jak wletę w trzecią, już nie przychodż, bo bym ci łeb urwoł.

Pon koniecznie po niego (dochtora): "Kiejś my dwie córki uratował, toby i trzecią uratuj." Chłop mówi do pana, że: "ja pójdę panu i do tyj tzecij, ale niech pon pięćdziesiąt muzykantów sprowadzi i każdy z jenszym instrumentem." Chłop przychodzi przede dwór i każe tem muzykantom grać, każdemu swoją piosneczkę. Ci grają, a chłop włazi do dworu. A diabeł mówi do niego: "A tyś tu potrzebny! ja ci powiedziołem, żebyś to tyj trzecij nie przychodził." Chłop odpowie: "adyć ja nie przyszedłem do ciebie, telko po ciebie; telko żona twoja żeni się i przyszła cię prosić na wesele."

Diabeł jak usłyszał, że tu wesele jego żony i óna sama, że tu tyle muzykantów gro; jak się wyrwał i ucikł w świat. A córka pańska ostała przy zdrowiu; choć mioł chłop przykazane od diabła, żeby nie przychodził, jednak go oszukał i diabeł ucik.